



PISMO CZASOWE ILLUSTROWANE

WYCHODZĄCE DWA RAZY NA TYDZIEŃ.

Prenumerata w Warszawie:
 We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie:
 rocznie rs. 5 kop. 40, półrocznie rs. 2 kop. 70, kwartalnie rs. 1 kop. 35,
 Wieniec wraz z dodatkiem Encyklopedyi Powszechnej w 8-miu tomach
 rocznie Rs. 9 kop. 40, kwartalnie: Rs. 2 kop. 35.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
 Rocznie rs. 8, kwartalnie rs. 2, wraz z dodatkiem Encyklopedyi:
 rocznie rsr. 13, kwartalnie rsr. 3 kop. 25.

Wydawca **HIPOLIT ORGELBRAND.**

Ekspedycya główna w Warszawie, ulica Bednarska N. 20.

W Cesarstwie Austriackim: w Lwowie u Seyfartha i Czajkowskiego
 kwartalnie: flor. 3 cent. 25; wraz z dodatkiem Encyklopedyi kwar-
 talnie florenów 5 cent. 5.
 W Krakowie w księgarni wydaw. dzieł tanich pożytecznych, kwartalnie
 flor. 3, wraz z dodatkiem Encyklopedyi flor. 4 cent. 80.
 W W. Ks. Poznańskim: u F. H. Richtera, kwartalnie tal. pr. 1 sgr. 22½,
 wraz z dodatkiem Encyklopedyi kwart. tal. pr. 2 sgr. 22½.

TEATRZYKI OGRÓDKOWE.

Zrodziła je spekulacya, matka większej części złego i dobrego w naszym stuleciu, — a uczyniła to z pomocą konkurencyi, rodzonej swój siostry.

Stało się to tak:

Przed kilkunastu laty stan teatru na prowincyi był bardzo smutny. Towarzystwa dawniejsze posiadające pewne zasoby sił artystycznych, usadowiły się stale w Krakowie i Lwowie, garnąc do siebie wszystko, co się odznaczało zdolnością lub pracą. W granicach Królestwa pozostali tylko niedołężni przedstawiciele tulażonego zawodu, którzy raz dotknąwszy nogami ruchomych desek sceny, już do innych zajęć trafić nie mogli. Gdyż prawda to rzecz wiasta, stosująca się zarówno do wielkich i do maluczkich, do

artystów i rzemieślników sceny, że z tego świata szychowych złudzeń, jednowieczorowych ideałów, kłamanych łez i śmiechów, — do świata realnego, o regularnych miarowych stosunkach, o ustalonych jak pozycyjne działach warunkach bytu — wrócić już niepodobna. Pierwszym przyswieca w drodze marzenie sławy, siatkę nerwową drażnią huczne oklaski, duszę usidlają w złote okowy szeregi wrażeń gwałtownych, błyska-

wiecznych... Drugim uśmiecha się życie próżniacze bez widocznego celu, a więc i bez troski o jutro, bez ciężarów obowiązku, które innym członkom społeczeństwa rysują przedwcześnie brzozy utrapienia na czole.

Z tego właśnie drugiego a naturalnie liczniejszego niż pierwszy zastępu, uformowały się w owym czasie trupy prowincjonalne, mające haftować delikatne arabeski sztuki na grubiej kanwie powszedniego życia. Dyrektora kreowano najczęściej w drodze wolnego wyboru większością głosów, albo li też jaki skromny kapitalista małego miasteczka, uciulana w rzemiosle lub handelku sumkę rzucał w artystyczną przepaść, zwabiony nadzieją zysku, szumnym tytułem i połączoną z nim władzą. Na dekoracye znalazło się zawsze dość starego płótna i farb u malarzy pokojowych, kostiumy starożytnie łatwo utworzyć z kolder kolorowych — a nowożytnych dostarczał na kredyt usługny Mosiek lub Berek.



WIDOK KĘPY POD NOWĄ ALEKSANDRYĄ (PUŁAWAMI). Kopia z obrazu J. Szermentowskiego.

Takie to truppy błakały się od miasta do miasta, dając tak zwane przedstawienia. Publiczność spragniona wrażeń tego rodzaju napływała z razu obficie do tych przybytków skażonego smaku i zeszpeconego języka, aż nareszcie znudzona zbyt długim pobłażaniem, które do żadnego nie prowadziło rezultatu, zaczęła je traktować po macoszemu.

W tym to czasie, kilku zdatnych i miłujących sztukę artystów dramatycznych postanowiło podnieść teatr prowincjonalny z upadku. Zbrojni zasobem odpowiednich wiadomości i doświadczenia, potrafili uczynić pewny wybór w kandydatach i kandydatkach do zawodu scenicznego,—a co większa umieli tym materiałem artystycznym kierować ku pożytkowi sztuki. Tym sposobem zawiązało się kilka towarzystw zostających pod dyrekcją ludzi fachowych i tём samém posiadających już trwalsze warunki istnienia. Do tych ostatnich zaliczamy przedewszystkiém truppę p. Trapszy, dalej Ortyńskiego i Carmantranta, że nie możemy pominąć mileżeniem p. Ratajewicza, który przez długi czas wytrwale bronił jak mógł sztukę sceniczną na prowincyi od zupełnego upadku.

Towarzystwa te od razu stworzyły niebezpieczną konkurencję dla licznego szeregu poprzedników, o których mówiliśmy wyżej. Tamte wypierane z miast do miasteczek, z miasteczek do osad prawie, musiały uleść nieubłaganemu prawu wewnętrznego rozkładu, a do tego fatalnego kresu zbliżyłyby się wcześniej, gdyby nagle Warszawa nie otworzyła dla nich gościnnych wrót swoich.

Nasze miasto, posiadało nader szczupły repertuar rozrywek letnich. Warunki życia tak się jakoś w niem ułożyły, że ci, co nie mieli ochoty bocianich, albo dość pełnych kieszeni dla opłacenia zagranicznych rozkoszy,—musieli się nudzić. Szczególniej warstwom uboższemu społeczeństwa warszawskiegó, ludziom pracującym w pocie czoła od świtu do zmroku, bardzo mała ilość słodkich owoców rozrywki przypadła w udziale. Kilkanaście łokci kwadratowych z czemś nakształt drzewka pośrodku, powietrze przepełnione kurzem i dymem tytoniowym, czasami jakies piszące skrzypce w kłótni z niesfornym kontrabasem, wreszcie orzeźwiający bawar jako lekarstwo na kłopoty,—oto wszystko, czém uboższy rzemieślnik lub kupiec, robotnik lub długobrody faktor, raczyć się mogli na łonie letniej natury.

Potrzeba jest matką wynalazków — powiedziano słusznie. Więc też wynaleziono francuzkich śpiewaków, niemieckich aktorów, aż przysłała kolej i na nasze truppy. Dzieje tego pierwszego napływu są zbyt mało odległe, abyśmy tu dłużej się nad nimi zastanawiać potrzebowali. To pewna, że drogę dla polskich teatrzyków ogródkowych torowali niestety! Francuzi i Niemcy w sposób, który na pewnej części tutejszej publiczności pozostawił szkodliwe i dotąd niezacierające się ślady.

Pierwszy teatrzyk ogródkowy polski w obrębie stolicy otworzył p. Russanowski na Czystém, po nim p. Modzelewski w Kassyno i Figaro, oraz p. Stobiński w Alhambrze.

Rzecz dziwna, że ci, których na prowincyi pomawiano o skażenie smaku i kaleczenie języka, w Warszawie dosłużyli się od razu zaszczytnego miana: pionierów cywilizacyi. Dziwna dla tych przynajmniej, którzy nie mogą zrozumieć, że sądy ludzkie warunkują się okolicznościami wśród których powstają, i stosują się ściśle do wymagań, jakie rozumnie stawiać można.

Czy o tём wyższym posłannictwie, włożoném

przez prasę peryodyczną na barki pierwszych trupp ogródkowych, one same miały jakiegokolwiek wyobrażenie? — pozwalamy sobie wątpić. Ci ludzie przybyli na bruk warszawski gwoli zarobkowi, i śpiewali, tańczyli, śmiali się lub wylewali łzy nie w innym celu,—a przecież w obecnego żywiołu publiczności, przed którą odbywali sceniczne harce, spełniali oni rzeczywiście zadanie, o którém była mowa: zbliżali nieoświecone tłumy z myślą zawartą w pieśni lub słowie.

Grano wtedy wyjątki z operetek, fars, wodewilów i komedijek, przedstawiające po większej części różne żywioły naszego społeczeństwa.—Tu Stach rażny i modrooka Maryska opiewali swą prostą a serdeczną miłość,—tam puszył się hardy ekonom, tłusty organista spijał się jak beła i palił szumne oracye, tu znów sprytny żydek zachwalał swoje towary, a buńczuczny krakowiak palił hołupce aż skry trzeszczały. W wyobraźni warszawskiego ludu, żywo zarysowywały się te postacie tak swoje, a tak dawno nie widziane, błyszczące zaledwie słabém światłem we wspomnieniach lat dziecinnych. Myśl widzów szybowała het daleko na pola i łąki zielone, gdzie życie pełne swobody, niebo jaśniejsze i serca czystsze, bratała się z temi postaciami, zatrzymywała na długo ich gorącą charakterystykę, zespalała się z niemi w szczerym duchowym związku. Tym sposobem całe massy ludności, zagrzeżłe w ciężkiej pracy około powszedniego chleba, zrobiły pierwszy krok w królestwie ideału.

Dość było rzucić okiem na zgromadzoną wówczas w teatrzyku takim publiczność, aby od razu ocenić całą doniosłość wywieranego wpływu. Żadna różnica pomiędzy złudzeniem a rzeczywistością zdawała się nie istnieć; wszystko co się działo na scenie, widzowie brali za prawdę bezpośrednią, natychmiastową,—łączyli z akcją swoje nadzieje i pragnienia, słowa zachęty lub okrzyki nagany,—głośne rozmowy zawiązywały się pomiędzy grającymi a słuchaczami, zdarzało się nawet, że niektóre ciemniejsze ustępy sztuki, komentowali sami aktorzy w małych nawiasach. Umysły drgały życiem nadzwyczajném, od gorących oklasków puchły dłonie, a później w głębi warsztatów niejedyn pracownik opowiadał mniej szczęśliwemu towarzyszkowi o dziwach, które widział i słyszał.

Nie dziwnego, że w obec takich warunków teatrzyki ogródkowe miały powodzenie. Ten właśnie ostatni wyraz, ujęty w pewną udeterminowaną całość materialnych wartości, skłonił dyrektorów poważniejszych towarzystw prowincjonalnych do szukania szczęścia na warszawskim bruku.

Nadzieje i oczekiwania nie zostały zawiedzione. Z przybyciem w roku zeszłym do Warszawy pp. Trapszy i Ratajewicza, ukształciła się publiczność zaczęła tłumnie uczęszczać na dawane przez nich przedstawienia, nie chłodnąc ani na chwilę w swym do tego rodzaju widowisk zapał. Na afiszach zaczęły się pojawiać sztuki większego pokroju, wabiące urokiem nowości, po większej części całkiem nieznanego pokoleniu, niewiedzącemu dziś warszawską scenę.

Przyczyna zresztą tego ruchu, który się nagle wewnątrz ogródków posiadających teatru objawił—leży przeważnie w tём, cośmy na wstępie już zauważyli. Publiczności tutejszej, zarówno ukształciwszy jak mniej ukształconej, zbywało zupełnie na rozrywkach letnich. Ani przechadzki w cienistych aleach, ani zbiorowe wycieczki w piękne okolice, ani gwarna atmosfera Saskiej Kępy nie mogły zadowolić sere łaknących

żywszych wrażeń i umysłów szukających chciwie pokarmu nawet w chwilach wypoczynku.

Pozostawał wprawdzie jeden teatr produkujący najbiedniejsze okrucy zimowego repertuaru, dla braku celniejszych sił artystycznych, korzystających właśnie z urlopu. A teatr ten mieścił zaledwie tysiąc osób, a więc ósmą co najwięcej część tego tłumu który codziennie przepelniał Dolinę Szwajcarską i ogródki.

Na łonie tych nowych uciech widzowie znaleźli wrażenia przyjemne i urozmaicone. Teatrzyki rozmieszcivszy się w różnych stronach miasta, wkrótce urobiły swój repertuar i samo wykonanie na miarę gustów tój sfery publiczności, która je najliczniej nawiedzała. W Tivoli pod dyrekcją p. Trapszy rozgościła się komedya wyższa wszelkich odcieni, poważniejszy dramat, a czasem gwoli niedzielnym wymaganiom ucieczna farsa, lub wesola operetka. W Eldorado, technącém jeszcze tradycjami kankanowej przeszłości, grano mniejsze sztuczki przepłatanie tańcami lub kupletami lekkiej treści w międyaktach. Niezależnie od tych dwóch przedsiębiorstw na większą skalę, w Alhambrze, Grenadzie i pod skromną Lipką znalazły przytułek prawdziwe teatrzyki ludowe, w których zbierała się publiczność skora do najszczerszego śmiechu i do wylewania najczulszych łez nad losem bohaterów i bohaterek sceniczych, chociaż ci grą swoją jak najmniej niestety! na to współczucie zasługiwali.

Tak było w roku zeszłym.

Upłynione miesiące tegorocznego lata zrodziły stan rzeczy całkiem odmienny. P. Trapszo naciągnął o kilka tonów wyżej strunę swęj przedsiębiorczości i postanowił dawać przedstawienia w dwóch na raz ogródkach. Skojarzył więc pod swém dyrektorskim berłem arystokratyczne Tivoli z demokratyczną Alhambra, zwiększivszy naturalnie swój personel artystyczny. Nie mieliśmy nie przeciwko temu, w nadziei, że owe pracujące warstwy naszej społeczności, nabywszy już zamiłowania do widowisk sceniczych, zaczęną obecnie proces kształcenia w sobie prawdziwego poczucia estetycznego, przez systematyczne zapoznawanie się ze sztukami wyższego polotu, wykonanemi starannie i zgodnie z wymaganiami sztuki.

Z początku zdawało nam się dopatrywać w repertuarze p. Trapszy pewnego obmyślanego kierunku. Prasa peryodyczna zgodnym chórem pochwaliła dążenie dyrektora do przedstawiania sztuk nowych, posiadających rzeczywistą wartość literacką,—a nie spuszcila przytém z oka wykonania umiejętnego, równego, pozbawionego wszelkich rażących usterek i błędów. Na nie-szczęście ten błogi stan repertuaru trwał krótko. Już z wpływem dwóch tygodni afisze pokryły się gęstemi kolumnami tytułów głoszących same okropności. Melodramy o 15-stu obrazach, czarodziejsko-fantastyczno-tragiczno-komiczne dramata starej szkoły z całym zasobem przejmujących dreszczem efektów, a od czasu do czasu myślowe pseudo-muzyczne farsy, których nagość nawet na wielkiej scenie okazała się zbyt nagą,—oto materiał, który potokiem spływając z desek sceniczych Tivoli i Alhambry, drażnił coraz gwałtowniej nerwy słuchaczów. Niedostateczne zbadanie tajemnicy gustów i upodobań publicznych, kazało dyrekcji sądzić z kilku pojedynczych przedstawień o całości. Ponieważ Młyn Dyabelski, Tułacz i Czaszka Mordercy spowodowały z razu istną powódź w kassie, otworzono więc na oścież kufer z biblioteką i poczęto wydobywać ode dna zapomniane, opylone

rdza czasu strawione dramidła, które niespodziewały się już zapewne oglądać światła kinkietów.

Eldorado naturalnie musiało iść za przykładem współzawodnika, a nawet starać się go prześcignąć. Zatem na Młyn Dyabelski replikował Dyabeł w zalotach czyli podróz po piekle, zakończona kankanem w królestwie ciemności,— z Gałganiarzem paryzkim walczył o lepszą Rinaldo Rinaldini wielki bandyta włoski,— a Montechristo'wi dzielnie się opierał Józef Nawarowódz gerylasów. Zużyto wiele prochu, narobiło huków stuku i marniej wrzawy. Na zasługę jednak p. Ratajewicza dodać winniśmy, że wśród tych jatek scenicznych potrafił znaleźć miejsce na kilka lepszych sztuk Fredry i Korzeniowskiego.

W Tivoli zaś i Alhambrze oprócz „Sądu przysięgłych” Korzeniowskiego (raz jeden), oraz „Dam i Huzarów” Fredry (także raz jeden), nie mogliśmy dopatrzeć na afiszach więcej sztuk oryginalnych, że nie odważymy się do nich zaliczyć takiego np. „Omal nie dramat” p. Bykowskiego, lub „Pochodu z pochodniami” p. Urbańskiego.

Natomiast odegrano „Piękną Helenę” 13 razy, „Młyn Dyabelski” 8 razy, „Tułacza” 6 razy, „Esmeraldę” najfatalniejszą w świecie parodję ze wzniesłego romansu Wiktora Hugo 2 razy, Rycerzy mgły 2 razy i t. p....

Takie wysilenie repertuaru w jednym kierunku, wywołało dwa smutne następstwa. Pierwszemu z nich było stopniowe przerzedanie się licznego z razu zastępu widzów. Publiczność Alhambry, przychodząca do teatru dla wrażeń żywych, gorących, urozmaiconych, przesyciła się prędko nieustannym szeregiem mordów i rzezi; słuchacze w Tivoli poszukujący pewnego estetycznego zadowolenia, odstręczyli się i zniechęcili. Jedną tylko piękną Heleną dopisała, przepelniając za każdym razem oba ogródki.

Drugie następstwo ujawniło się w koniecznym zmarnowaniu sił artystycznych, które w towarzystwach p. Trapszy i Ratajewicza były i są niemałe. Codzienne granie wieloaktowego dramatu spowodowało obsadę ról prawie zawsze niefortunną, brak czasu na najłżejsze wystudowanie, a nawet wyuczenie się na pamięć, rozpoczynanie widowiska prawie bez próby. I jakże tu potem wymagać, aby wykonanie było choćby tylko mierne, ale przynajmniej równe, bez tych fatalnych wyskoków i błędów, które najpoetyczniejszym nieraz scenom nadawały barwę lichego komizmu? Zabrakłoby nam papieru, gdybyśmy chcieli wyliczać wszystkie prowincjonalizmy, jakich się tam dopuszczano, wytykać choćby najgrubsze tylko błędy językowe. Poprzestaniemy na zanotowaniu kilku najpowszechniejszych.

Zdarzało się i to dość często, że aktor grający rolę drugorzędną, wychodził na scenę nie znając sztuki, w której miał przyjmować udział. Dostawał rolę na kilka godzin przed widowiskiem, dla zastąpienia kolegi, którego potrzeba było użyć w drugim ogródku. W garderobie dopiero dowiadywał się od współgrających, jaki kostium ma przywdziać, a potem nasłuchiwał pilnie ostatnich słów podkreślonych w jego roli, na które wejść był powinien. Skutkiem bowiem zużytkowania całego personelu na scenie za kulisami nie było zazwyczaj nikogo do pilnowania porządku scen. Ztąd nieszczęśliwy aktor wkraczał nagle w sytuację, której nie znał, powtarzając machinalnie za suflerem słowa mniemaną rolę.

Jeżeli w takim położeniu rzeczy któraś z osób grających nie weszła w swoim czasie na scenę,—

co zresztą nie należało wcale do rzadkości,—ów aktor nie znający sztuki recytował dalej za suflerem wyrazy na kogo innego przypadające. Sami byliśmy raz świadkami, jak na skutek nie przybycia subretki, mającej donieść o tém, co jęj pani robiła przeszłego wieczoru, zastąpił ją mimowolnie w tym obowiązku obecny na scenie młody człowiek, który z toku rzeczy miał ową panią poznać dopiero w następnym akcie.

A ileż to razy zastrzelono człowieka z kapiszona,—ile razy pojedynkujący się zadawali sobie pohnięcia w miejsca zakazane,—ile razy dopiero po wypowiedzianych wyrazach: „Cóż to za hałas? jakież grzmot okropny!”—ów hałas i owe grzmoty dawały się słyszeć za kulisami, że pominiemy już te zawsze przytrafiające się zapowiedzenia osób przybywających, przez zwrócenie spojrzeń w stronę wprost przeciwną, lub fatalne anachronizmy w wystawie sztuk niby-historycznych.

Jeżeli pomimo tych wszystkich i niektórych jeszcze innych punktów ciemnych na widnokręgu sztuki, widzowie często mogli z przyjemnością zwrócić oczy na scenę, upoić się słodyczą chwilowego podniosłego wrażenia,—zasługa to już talentu niektórych artystów i artystek, którzy pracowali wytrwale w tej dramatycznej matni, z istnie heroicznym wysiłkiem.

Po większej części braknie tym młodym pracownikom szkoły, umiejętności panowania nad grą, ujęcia własnych zasobów w silne, artystycznie trzymane na wodzy, karby. Ale talentu rzeczywistego, materiału mogącego w przyszłości wydać najświetniejsze rezultaty, wielu z nich odmówić niepodobna.

Do najzdolniejszych zaliczamy, z trupy pana Trapszy: pp. Zarębę i Cybulskiego, panie: Sochaczewską i Zimaier; z trupy goszczącej w Eldorado pp. Tomaszewicza, Moszyńskiego i Eibla.

W przeglądzie tym naszym działalności ogródkowych teatrzyków, z upłynionego tegoletniego sezonu, staraliśmy się uchwycić strony najogólniejsze, unikając zapuszczenia się w zbyteczne szczegóły. Przedstawiliśmy w krótkości koleje ich rozwoju, dla określenia natury użyteczności tych scen wędrownych i doniosłości wywieranego przez nie moralnego wpływu. Okazaliśmy się surowymi w sądzie dla ostatnich przedsięwzięciów, gdyż oni wykazaną już znajomością sztuki i sceny, rozporządzalnością znacznych stosunkowo zasobów artystycznych i przedstawieniem starannem kilku dobrych utworów, sami usposobili nas do słusznych wymagań, którym własnowolnie, dla źle zrozumianej spekulacji, nie odpowiedzieli. Mamy nadzieję, iż w roku przyszłym też same sceny zawitają znów do naszego miasta, ale ich dyrektorowie potrafią już pewnością repertuar odpowiedni, żywy i rozmaity, otwierający systematycznie przed widzami wrota coraz rozleglejszych horyzontów, coraz wyższych i potężniejszych wrażeń.

K. L.

Z PAMIĘTNIKA.

Mieszkałem wtenczas na Kanonii
W sąsiedztwie nieba;
Słuchałem z bliska sfer harmonii
I czyłem Feba.
Życie mnie uczyła uśmiechnięta
Pieśń Horacego;
Kochałem książki i dziewczęta,
Cóż w tém zdrownego?

Choć poemata moje pierwsze
Brano pod placki,
Co noc pisałem wściekle wiersze
A la Słowaacki;
I zamiast ślepieć bez wytchnienia
Nad Corpus juris,
Sławiłem uśmiech i spojrzenia
Warszawskich hurys.

Raz mię opętał wzrok sąsiadki
Miłosném lichem,
(Bo Amor stawia swoje siatki
Nawet pod strychem);
Lecz miłość rzadko dla poetów
Przynosi szkodę—
Palnałem wtenczas sześć sonetów
I jedną odę.

Życie, wśród marzeń, biegło cicho
Niby idylla;
Snów mi nie trula serea pycha,
Żadna Marylla;
A chociaż pieśniom wtórowało
Miauczenie kotów,
Do śpiewu przecię, jedząc mało,
Wciąż byłem gotów.

Obok mnie liczną chował dziatwę
Szewc kuternoga,
I do pułapu wznosił dratwę,
A głos do Boga;
Bez przerwy walcząc z nędzy biesem,
Szył w dzień i w noc;
Ten szewc mnie uczył przed Smilesem
Samo-pomocy.

Drugi mój sąsiad był artystą
Na klarynecie,
Grywał nieczysto, a pil czystą,
Jak to na świecie!
Co noc mordował bez litości
Włoski „Karnawał”;
Ten znów, talentów znikomoś i
Przykład mi dawał.

Trzeci szczęśliwy ze swobody
(Był emerytem)
Wypijał dziesięć szklanek wody
Równy ze świtem;
Zielone nosił okulary,
A czarny plaster,
Chował kanarków cztery pary
I palił knaster.

Dość było figlów i pustoty
W tém kółku naszym,
I nieraz śmiechów huczne grzmoty
Trzęsły poddaszem;
Śmiał się artysta z emerytem;
A szewc z poetą—
Tak się jednoczą różne, bytem,
Cienie nad Letą.

Czasami słońce pokazało
Rozsmiane lica,
Czasem zalała izbę całą
Jasność księżycza,
Czasem przybiegło polne ptasze
I zanucilo—
Marzyłem wtenczas, i poddasze
Rajem mi było.

Życie ma wiosnę; wiosna życia
Ma swe miesiące;
Pochód ich znaczą pulsów bicia
Coraz słabnące.

Mój Kwiecień, głazem przyciśnięty,
Spi już w mogile...
Dzisiaj go wspomnień urok święty
Wskrzesił na chwilę.

Wiktor Gomułcki.

PRZEGLĄD LITERACKI.

Ciąg dalszy. (Ob. Nr. 73).

Przeгляд dziejów przyrody. — Studya filozoficzne d-ra Wincentego Szyszło (e). — Warszawa. 1872.

Rozdział IX zawiera przeгляд rozwoju cywi-

nę, każde nowe narzędzie wprowadzone było siłą; ludzie wtedy dopiero pojmowali korzyść nowego wynalazku, kiedy ten boleśnie dał im się uczuć. I dziś jeszcze to państwo przewagę odnosi, które na polu społecznym i wojennym nową organizacją i orężem wyżej nad inne staje.“

Przystępując do określenia miejsca człowieka w przyrodzie, autor trochę niezręcznie utożsamia religię i psychologię, oddzielając je obie od wiedzy rozumowej. „Poznać, powiada, siebie możemy tylko zespalaając badania psychologiczne z biologicznymi, czyli naukę z religią... Nie powinniśmy ani rugować ani pomijać wpływu uczucia w zapatrywaniu się ogólnym na przyrodę; uczucie wespół z rozumem stanowi nierozdziel-

nych o zoologicznym stanowisku człowieka, o znaczeniu gatunków organicznych i nareszcie o pochodzeniu rodu ludzkiego.

Streścimy w krótkości naukowe przekonania autora co do powyższych przedmiotów.

Na zasadzie cech anatomicznych autor zgodnie z Huxley'em uważa ludzi za oddzielną rodzinę w rzedzie małp. Linneuszowski szereg *Primates* (Naczelne) dzieliłby się w takim razie na trzy podrzędy: *Anthropidae*, *Simiadae* i *Lemuridae*. Pojedyncze różnice pomiędzy nimi pod względem mózgu, zębów, klatki piersiowej, kończyn, miednicy i t. d., mają tylko znaczenie cech rodzinnych. Różnice moralne i umysłowe nie dają również człowiekowi prawa do stano-



SYNOWIE EDWARDA. Kopia z obrazu Pawła Delaroche'a.

lizacyi przedhistorycznego człowieka. Zgodnie z Le Hon'em autor wskazuje w rozwoju tym cztery okresy: 1-szy kamieni ciosowych odpowiadający peryodom mammuta, niedźwiedzia jaskiniowego i renów Larleta; 2-gi okres kamieni szlifowanych; 3-ci bronzu; 4-ty żelaza. Opis wszystkich okresów wyborny, i mógłby, oderwany od dzieła, posłużyć za wzór publicznego odczytu, co bynajmniej wartości jego naukowej nie szkodzi. Piąty peryod cywilizacyi naszej, zdaniem autora, wypadaloby nazwać okresem węgla kamiennego z powodu olbrzymiego zastosowania ciepłika jako motora i wpływu jego na stosunki międzynarodowe i postęp ludzkości. Niestety!... sam autor powiada, że „każdy nowy postęp w dawniej cywilizacyi osiągnięty był przez woj-

na cząstkę naszego ducha. Połączenie ich daje potęgę twórczą; rozdzielenie—tworzy potęgę burzącą. Wiedza w tym razie usiłując połączyć w sobie te dwa kierunki, musi być jak słońce—nie tylko światłem, lecz i ciepłem zarazem. Tylko zespalaając psychologię, anatomię, biologię, etnologię i etnogenię (nie widzimy tu związku z poprzednimi słowami autora), możemy określić nasze stanowisko względem siebie samych i przyrody; wówczas możemy tylko wyjaśnić prawa naszego rozwoju organicznego pod wpływem ogólnym rozwoju ziemi. Taki to cel wytknęła sobie dzisiejsza nauka o człowieku o-pologia.“ Pomimo postawionej w ten sposób zasady, nie dostrzegamy wiele uczucia w ostatnich trzech rozdziałach „Przeglądu,” traktują-

wiska osobnego rzedu. Autor nie wierzy w to, ażeby człowiek różnił się od zwierząt religią i moralnością. Niektóre zwierzęta mają poczucie obowiązku—a czem jest zkaładnād dobro i zło u dzikich ludów Afryki lub Oceanii, pożerających własne potomstwo?!.. W tym miejscu nie zawadzi przytoczyć zdanie autora wypowiedziane gdzieindziej (T. II str. 39), że nagosc skóry ludzkiej wystarcza do oddzielenia człowieka od małp i zaliczenia go do innego rzedu; a co do różnic umysłowych, autor zgadza się w jednym miejscu z Sumnerem, który odróżnia człowieka od zwierząt na podstawie powszechnej zdolności jego do ciągłego doskonalenia się. Pomimo tej sprzeczności, jeszcze raz widzimy człowieka odniesionego do wspólnego rzedu z małpami na



NA PRZECHADZCE.

W. G. G. G.

zasadzie danych przez embryologię dostarczanych. Zresztą autor niewiele przywiązuje wagi do klasyfikacji dotychczas przyjętej. W przeszłości zastąpić ma ją nowy układ genealogiczny, oparty na rozwoju płodowym zarodków. Według tego układu człowiek zaliczony będzie do jednej wspólnej podgromady krążkożyskowych, do której wejdą małpy, rękoskrzydłe, strzyżaki i owadożerne. Reszta ssących stanowić będzie 4 podgromady: jajożyworodnych, workowatych, kosmożyskowych i obrączkożyskowych. Na ten podział zgadzają się dwaj najpierwsi zoologowie—Huxley i Haeckel.

W kwestyi jedności gatunku ludzkiego autor łącznie z Blumenbach'em, Cuvier'em, J. Müller'em, obydwoma Geoffroy St. Hilaire'ami, Lamarck'iem, Buffonem, Comte'em, Quatrefages'em, Darwin'em i Haeckel'em, należy do monogenistów, t. j. stronników pochodzenia jednogatunkowego. W wielce zajmującym ustępie autor wyklada spór pomiędzy monogenistami i polygenistami, zbijając argumenta ostatnich tyczące się różnicy koloru skóry, budowy czaszki, mowy i t. p. Nowonarodzone dzieci we wszystkich plemionach nie różnią się od siebie, ani pod względem budowy, ani też koloru skóry. Autor uważa kolor żółty jako pierwotny kolor skóry człowieka; inne kolory powstały z przemiany tej barwy. „Albinosy w plemienu Negrów dowodzą, jakim zmianom kolor skóry ulegać może; nadto piegi w plemienu naszym uważać należy za pozostałą wskazówkę dawnego naszego koloru skóry. Pruner-Bey, prezes towarzystwa antropologicznego, pochytuje rasę Houzouanos za najstarszą rasę ludzką. Rassa ta jest koloru żółtego.” Niemniej ważnym dowodem jednogatunkowego pochodzenia rodu ludzkiego są języki różnych rass i narodów; wszystkie one bez wątpienia powstały z języków jednozgłoskowych czyli analitycznych i w dalszym tylko rozwoju uległy przekształceniom. Języki analityczne spotykamy tylko w rassie żółtej; języki syntetyczne (wielozgłoskowe o jednozgłoskowym pierwiastku i o niezmiennej zgłosce rdzenną w czasowaniu) znajdujemy szeroko rozgałęzione w rassach żółtej, czarnej, czerwonej i białej; języki organiczne są wyłącznym udziałem plemienia kaukazkiego. Rozpowszechnienie zatem jednej grupy języków w różnych plemionach powinno być dla nas wskazówką wspólnego niegdyś pochodzenia tych plemion. Większość filologów jednakże jest zdania, że nie było nigdy jednego wspólnego wszystkim ludom języka, któryby dał początek wszystkim innym, tak jak nie było jednego człowieka, ani też jednej pary. Stopniowo powstawali ludzie, stopniowo powstawały plemiona ludzkie i stopniowo tworzyły się różne narzecza. Różnorodność języków ludzkich podług autora daje się wytłómaczyć tylko teorią Darwina. Ród ludzki powstał stopniowo z jednego gatunku małpoluda na rozległej przestrzeni żyjącego, i używał początkowo podobnej mowy, różnej wszakże w każdej miejscowości. Ztąd nie ma i nie było wspólnego języka, lecz istniał tylko wspólny typ pierwotnej mowy ludzkiej. Plemienna wspólność rodu ludzkiego przebiega się również w formie naszej czaszki. Czaszki wszystkich ludów dają się podzielić na trzy główne typy, stosownie do trzech głównych plemion. Jedni rozróżniają typ owalny, sferoidalny i eliptyczny; inni zaś krótkogłowy, długogłowy i średniogłowy. Oba te podziały mało się różnią od siebie. Wszystkie te formy różnej budowy czaszki mogły powstać z niewielkich odmian w skutek odmiennego rozwinięcia się mózgu. Różnice w budowie miednicy odpo-

wiadają zupełnie ukształceniu czaszki i są również trojakiemu rodzaju. Tak więc nie ma żadnej ważniejszej różnicy, któraby upoważniała do przyjęcia teorii polygenistów. „Wszystko, dodaje autor, przemawia za tém, że w pewnej epoce, w pewnej rozległej miejscowości musiało jednocześnie istnieć wielu naszych praojców-małpoludów, pochodzących od jednego i tegoż samego nieznanego nam dziś gatunku zwierzęcego, który w epoce trzeciorzędnej oddzielił się od znanych obecnie antropomorfów czyli ludo-małp bezogonowych i stopniowo nabierał różnych cech ludzkich. Zrazu człowiek nie posiadał żadnej mowy podobnej do dzisiejszej; lecz stopniowo tracąc włosistą powłokę, stosownie rozdzielając pracę rąk i nóg, osiągał coraz wyższy stopień rozwinięcia mózgu i mógł wykształcić mowę artykułowaną. Darwin opisuje, że u niektórych gatunków małp można odróżnić sześć różnych wykrzykników. Tak też i nasz prarodzie zrazu powiększał liczbę wykrzykników, nim doszedł do zdolności łączenia oddzielnych zgłoszek.” Zresztą kwestya o jednogatunkowym pochodzeniu rodu ludzkiego zależy od przyjęcia lub nieprzyjęcia genealogicznego układu. „Kiedy teoria pochodzenia, mówi Darwin, będzie powszechnie przyjęta wówczas spór pomiędzy monogenistami i polygenistami na zawsze ustanie.”

Poważając się po raz pierwszy i ostatni podobno wystąpić przeciwko powadze Haeckel'a, dzielącego rasy ludzkie na wełnisto-włose i gładko-włose z trzydziestu poddziałami, autor dzieli ród ludzki na trzy główne plemiona (kaukazkie, murzyńskie i żółte) i charakteryzuje każde z osobna, poświęcając w końcu wymowny ustęp wyższości plemienia białego. Biali różnią się od innych plemion przeważnie ilością mózgu, a po części jakością i kolorem. Lecz i w samym plemieniu kaukazkiem ilość mózgu u rozmaitych narodów jest różna. Podług Engel'a średni ciężar mózgu u Niemców wynosi 1434,44 gramów, u Włochów 1365,1 gr., u Słowian 1320,9 gr., u Węgrów 1290,1 gr. Ciężar zaś mózdzka jest największy u Słowian, następnie u Włochów, Niemców i Madziarów; z czego autor wyciąga pocieszający wniosek, że Słowianie są przede wszystkim ludźmi czynu, Niemcy zaś ludźmi myśli. „Dla nas Słowian, powiada, jest to zarazem wskazówką większej żywotności naszej od plemienia germańskiego. Ilość mózgu łatwo się powiększy przy pracy umysłowej, do której się teraz Słowianie zabierają, a wówczas przewaga mózdzka da się uczuć innym plemionom—przez stosunkowo prędszy liczebny wzrost plemienia słowiańskiego.” Amen!.. Kobieta, chociaż posiada mniej mózgu pod względem wagi absolutnej, stosunkowo do wagi ciała ma go więcej od mężczyzny. To nam tłómaczy, dla czego u ludów będących na niskim stopniu rozwoju kobieta ma zawsze więcej inteligencji. „Pomiędzy gatunkiem małpim i człowieczym największa różnica zachodzi w budowie kobiety: toż samo spotykamy przy porównaniu kobiety białej z doskonałą jak Wenus Hottentotką. Przekonamy się, że kobieta nasza bardziej oddaliła się od czarnej niż mężczyzna.” W ogóle autor okazuje się entuzjastycznym wielbicielem kobiety, przypisując jej wyższość fizycznego i duchowego ustroju i silniejsze poczucie obowiązków i cnoty. Unosząc się coraz bardziej, mówi, że instynkt plemienny jest większy u kobiet, a to co stanowi rdzeń każdego narodu, jego potęgę i siłę—cnota—jest jej wyłącznym udziałem... Szczęśliwy naród, którego kobiety pojmują swe obowiązki,—przyszłość jego nie może być wątpliwa. Przeciwnie zaś, gdzie upadła kobieta, tam blizki

upadek narodu. W państwie podobnym choroba moralna naksztalt dżumy szerzy się i niszczy społeczny ustrój. Takim sposobem upadła Grecya i Rzym, a obecnie schodzą ze sceny wschodnie narody, u których kobieta nie doznaje równouprawnienia. „Wielkie matki mówi Buckle, wydały wielkich ludzi,” a możnaby dodać, że cnotliwe kobiety wydały wielkie narody... Piękne to myśli—ani słowa: lecz przeskok od bezogonowych małp do równouprawnienia kobiet rażący trochę... Darwin w teorii naturalnego wyboru i walki o byt najlaskawszy jest pono dla najsilniejszych samców.

Tak więc widzimy, że autor coraz śmiej roztaacza skrzydła, zapominając o nielasce niedawniej względem pozytywizmu (T. 1 str. 99), i już nie cytując Mojżesza jak czynił to w I-m tomie.

(d. c. n.)

O PROSZONYM CHLEBIE.

POWIEŚĆ

przez

WALERYĘ MARRENÉ

(Morzkowską).

III.

Ciąg dalszy. (Ob. Nr. 73).

Sołtys czuł się w obowiązku coś dodać: ta niema boleść, tak sprzeczna z tém co zwykle pomiędzy prostymi ludźmi widzieć się daje, dziwiła go i sprawiała przykrość, ale nie znajdował słów stosownych.

— Nie martwcie się matko, wyrzekł wreszcie, aby coś powiedzieć: da Bóg, Stacho powróci, a ty chłopcze, choćbyś żołnierzem został, to cóż? byłoby ci dobrze.

On nie odpowiedział. Słowa sołtysa były niezręczne: alboż on myślał o sobie? gdyby mu kto był wskazał otwarte podwoje raju i kazał mu tam iść za nie, raj wydałby mu się piekłem z myślą, że z Hanką rozstać się musi.

Piotr widząc, że jego wymowa była zupełnie stracona, zabierał się do wyjścia. Przy progu jeszcze zwrócił się i wyrzekł:

— Jutro skoro świt, ruszamy do powiatu.

Sołtys wyszedł, nie mogąc doczekać się odpowiedzi.

Matka i syn pozostali nieruchomi tam gdzie ich zostawił.

Za ścianami chaty świat radował się i błyszczał w promieniach słonecznych; drzewa obwieszane szronem wznosiły ku górze konary, polyskując kryształami lodu, gdzie niegdzie wśród nich czerwieniły się ostatnie jagody jarzębin, jasne niebo rozpinano nad wioską horyzont bez chmury, zimowe śmieciuszki złudzone jasnością słońca, świergotały przelatując stadami z dachu na dach sąsiedni, ludzie idąc do kościoła gwarzyli, rozmawiali, śmieli się—a pomiędzy nimi trwała głucha cisza.

Bo i cóż powiedzieć sobie mogli? Są położenia bez wyjścia, wiedzieli o tém oboje, czytali wzajem w myślach swoich, a co w nich dostrzegali, uspokoić ich nie mogło.

Stach postąpił ku drzwiom.

Ale na ten ruch jego, matka wyciągnęła drżące ręce z głuchym jękiem; ona nie chciała utracić go na chwilę jedną, dopóki konieczność nie

wydarła go jęj jeszcze. Stach zbliżył się, przykleknął przy niej, i czoło płonące oparł na matczyne kolanach.

— Puście mnie, szepnął, puście, ja muszę ją zobaczyć.

Przygarnęła go do piersi rozpacznie, namięt nie, jak gdyby nie mogła się z nim rozstać.

W tej chwili drzwi otworzyły się gwałtownie i Hanka ukazała się na progu. Twarz jęj mieniła się w sine cienie, ręce były załamane, oczy szeroko rozwarte postawiła w słup przed siebie; szeroko rozwarła przed siebie oczy te zdawały się nie widzieć zewnętrznych przedmiotów i patrzyły tak smutno, tak boleśnie, że aż litość brała, malowały się w nich wyraźnie straszne obrazy powstające w jęj myśli. Stała na progu i nie śmiała go przestąpić, przerażona i zawstydzona zarazem, przyszła tutaj prawem rozpacz, nie pomna na nie, i teraz dopiero w obec Dąbkowej zdała sobie sprawę z nierozważnego kroku. Przecież nie mogła się cofnąć, coś przykuwało ją do miejsca.

Stach zerwał się i przyskoczył do niej.

— Matko, szepnął, matko, to Hanka.

Stara kobieta znała ją dobrze, może nieraz turbowała się miłością syna, przecież teraz zrozumiała uczucie, które ją tu przywiodło, i przejednana jednaką boleścią, otwarła jęj ramiona. Hanka z głośnym płaczem rzuciła się w nie, kryjąc twarz na jęj piersi.

W tej strasznej chwili, promień pociechy zawitał do chaty: w obec nieszczęścia i groźby rozdziału, czuli się wszyscy troje zjednoczeni wielkim szczęściem, serca ich były jednogodnie, pozostawała w nich ta siła, co łączy ludzi pomimo oddalenia i czasu, co kruszy zapory, dodaje odwagi do zniesienia wszystkich przeciwności losu.

— Pozwólcie mi być dla was córka, szeptała Hanka. Gdyby Bóg wam zabrał syna, pracowałabym dla was dni i noce; tylko nie odwracajcie serca odemnie sieroty.

Była błagalna prosba w tych słowach; dziewczyna wymawiała je z głębi ducha. Dąbkowa uczyła się mniej samotną, mniej przerażoną przyszłością.

Chciała przemówić, ale głos odmawiał jęj posłuszeństwa, łzy płynęły z jęj zagasłych oczu, łzy smutku, radości, rozrzewnienia; zrozumiała prawdę uczuć dziewczęcia w prostych słowach Hanki.

— Bóg ci zapłać moje dziecko, wyrzekła wreszcie, przychodząc do siebie.

Dziewczyna ścisnęła jęj kolana. Stach patrzył na to w milczeniu; wyraziste źrenice jego płonęły, usta drżały słowami, które cisnęły się na nie. Kobiety uspokoiły się z wolna: ludzie pracujący nie mają czasu oddawać się zupełnie moralnym wpływom: stanowi to ich niższość i siłę zarazem. Materyalne potrzeby ciążyą w każdej chwili nieodzwrotnie, zapominając o nich nie mogą; wśród łez i smutku, gospodyni musi pomyśleć o codziennym chlebie dla mieszkańców chaty, gospodarz zapomnieć nie może o dobytku i roli, która go żywi, żadne z nich nie ma czasu oddawać się żalowi lub tonąć w marzeniach. Dąbkowa i Hanka musiały więc zająć się tém groźnym jutrem i opatrzyć jego potrzeby. Z powrotem lub bez powrotu była ta droga dla Stacha, na którą trzeba było się przygotować tak, aby mu niczego nie zabrakło, aby znać było, że czuwały nad nim kochające serca. Materyalne więc zachody, zabrały im resztę dnia; obie krzątały się zarówno około placka, który mu upiekły, i różnych przysmaków, którymi naładowały mu podróżną korbalkę.

Stach spoglądał na nie w milczeniu; nie miał

wcale chęci do jadła, przecież nie chciał martwić ich serc odmową i pogardzeniem ich darów: kto wie czy to nie były ostatnie dowody ich troskliwości! Ta myśl dodawała im znaczenia.

Zresztą dzień ten cały upłynął głucho. We wsi kobiety wszędzie krzątały się około odchodzących; nie jeden Stach stawał do losów, tylko innych odprowadzali ojcowie gotowi do okupu, lub troskliwa rodzina, on miał iść sam, zostawiając od razu po za sobą wszystko co mu drogiem było. Wieczorem sam odprowadził Hanke do chaty na końcu wsi, i tam długo z nią pozostał na zwykłym miejscu. Jakie były między nimi przysięgi, prośby, zaklęcia, obietnice, jakie gorące łzy i pocałunki, tego nikt nie słyszał; podpatrzył ich tylko księżyc zeglujący cicho po błękitnie nieba, drżące gwiazdy przygaszone jego blaskiem i wiatr, co szumił w nagich gałęziach drzew. Takie chwile w najprostszych i najbardziej pierwotnych naturach streszczają życie całe, pamięć ich przechowuje się w sercu głęboko pod popiołem zapomnienia, naniesionym przez czas, jak iskra święta nieugasła nigdy. Przyszłość może nie ziszczyć marzeń młodzieńczych, ideały w chwili pierzchnąć mogą spłoszone twarde warunki bytu, ale wspomnienie ich pozostanie, rozświecając ciemności ducha, strzegąc go od skazy, od upadku, na pociechę i uszlachetnienie.

Koło północy Hanka tłumiąc łkanie weszła do chaty. Stach patrzył za nią dość długo, i jego serce wzbierało łzami, którym przez dzień cały nie chciał dać spłynąć. Obejrzał się w okół: noc była cicha, jasna, biała od śniegu i od promieni księżyca, w jęj świetle mógł rozpoznać profil każdej chaty rysujący się na tle horyzontu i szkielety drzew wznoszące się w okół. Jutro to wszystko miał rzucić, rzucić może na zawsze; w tej chwili martwe przedmioty, w pośród których urodził się i wzrósł, nabrały dla niego tajemniczego uroku. Przypominały one tak wiele, że całe życie jego, myśli, bóle i radości zdawały się do nich przyrosłe. Tysiące rzeczy cisnęło mu się do pamięci: tutaj dzieckiem jeszcze będąc wdrapywał się na drzewo dla zdobycia jabłka i gruszki, Hanka mieszała się do tych wszystkich wspomnień, ona była towarzyszką jego zabaw i wypraw niebezpiecznych, ona pocieszała go w małych zmartwieniach, pomagała gdy to nie przenosiło jęj siły. Miłość wzrosła razem z życiem niepostrzeżona, nie wiedział kiedy najprzód powstała, ona zawsze wydawała mu się piękniejszą niż wszystko, kochał ją, nim rozumiał, co to jest kochać.

Życie całe powracało mu do myśli niby przesłany poemat. Wprawdzie nie zdawał sobie z tego sprawy dokładnej, uczucia jego nie rozdrabniały się w słowa ani w analizę doznanych wrażeń, tylko serce wzbierało mu łzami, gdy wolnym krokiem powracał do siebie.

Pomimo spóźnionej godziny, sen nie kleił mu oczu; żal mu było przespać ostatnie godziny tej nocy, nie mógł oderwać wzroku od tych wszystkich martwych przedmiotów, wśród których odszukiwał sam siebie. Pracowite życie jego było szczęśliwe: dotąd nie lękał się roboty, siły jego sprostalyby chęciom; to co posiadał w starszało mu zupełnie, młodość i zdrowie kipiały w jego żyłach, i prawem niesfalszowanej natury, nie analizując bytu, czuł jednak dobrze, iż życie jest dobrem i błogosławieństwem.

Co przemyślał przez te godziny samotności, to pozostało tajemnicą dla niego samego; różnietwo wspomnień zamierzonych był długi, pół-senne pamiętki pierwszego dzieciństwa mieszały się z pragnieniami młodzieńca, fakta minione z ma-

rzeniami, wszystko to plotło się w obrazy gorączkowe pełne żalu, rozpacz, nadziei.

(d. c. n.)

SYNOWIE EDWARDA.

Synowie Edwarda IV króla angielskiego Edward i Ryszard przez stryja własnego księcia Gloucester w wieży londyńskiej osadzeni, tamże na rozkaz panującego pod imieniem Ryszarda III ojcowskiego brata, poduszeni zostali przez nasłanych siepaczków r. 1483.

Tę straszną i smutną scenę w historii angielskiej, twórca dramatyczno-historycznego kierunku w malarstwie Delaroche dwa razy malował w odmienny za każdym razem sposób układając pomysł, a raczej inną obierając chwilę.

Pierwszym pomysłem był ten, który tu obecnie podajemy, jest to chwila kiedy młodzieńcy w modlitwie szukają pociechy na cierpienia, niepokoję i poniżenia.

W drugim pomysle artysta obrał chwilę mniej może podniosłą, mniej budzącą współczucie dla tych dzieci (starszy miał lat 12 młodszy 10), nie mniej jednak dramatyczną. Tam młodszy brat tuli się do starszego przerażony jakoby złowieszczym szelestem dającym się słyszeć u drzwi przez których szparę prześwieca blask lampy, historyczny piesek bierze tam wyrazisty udział w akcyi, niespokojnym wężeniem i nasłuchiwaniem przy drzwiach.

Obadwa te pomysły trafnością obranej chwili, dosadnością charakterystyki i głębokością wyrazu przyczyniły się bardzo do rozslawienia nazwiska Delaroche'a, doczekały się też licznych bardzo reprodukcji w sztychach, litografiach a obecnie i fotografiach.

ZE ŚWIATA NAUKOWEGO I SPOŁECZNEGO.

NIEMCY WSPÓŁCZESNE.

Dawid Strauss, przez Wiktora Cherbuliez'a.—
Poeci nowego cesarstwa, przez tegoż.—Teodor Mommsen, przez Gastona Boissier'a. (Revue des deux Mondes, Luty, Marzec i Kwiecień z r. b.)

Walka dwóch najpotężniejszych narodów Europy, zakończona politycznie jeszcze przed dwoma laty, trwa dotąd w sferze umysłów i uczuć, w niegasnącym nigdy ognisku namiętności narodowych. Niemcy doszedłszy tak nagle i stanowczo do jednoci politycznej i przewagi materyalnej, pragnęliby od razu zająć w ludzkości stanowisko szczytowe, ogłosić się ludem wybranym i ukochanym przez Opatrzność, którego cnoty domowe i społeczne przechodzą wszystko, cokolwiek dotąd ukazała i zapamiętała historia. Do tej wszakże od dawna marzonej hegemonii, do tego pangermańskiego ciężenia nad resztą cywilizowanego świata, nie wnoszą się zwycięzcy z 1870 r. powolną budową pracy i zasługi,—ale raczej drogą samochwalstwa i bezwarunkowego upokarzania przeciwnika, którego światło, sztuka i samodzielna inicjatywa we wszystkich kierunkach działalności ludzkiej, były przez czas długi przedmiotem powszechnego w Europie podziwu. Francuzi w samopoczuciu fatalnych błędów politycznego i społecznego ustroju, które ich na stromą pochyłość upadku zaprowadziły, starają się odzyskać zachwianą równowagę dziejową, i badając gruntownie zarówno siebie samych jak i swych zwycięzców, odszukać istotne przyczyny tylu klęsk i tylu zawodów,—usyste-

matyzować środki podźwignięcia się moralnego i materyalnego.

Wszystkie wojny toczone na papierze mają jeden wspólny charakter: bywają długotrwałe, zacięte i nie przynoszą żadnych stanowczych rezultatów. Łatwiej podobno pobić niż przedysputować. Niemcy nie zdołają chyba nigdy wmówić Francuzom, że na polach bitew pod Wörth, Gravelotte i Sedanem, moralność i pobożność potomków Ottona I zwyciężyły cynizm i zepsucie wychowawców Woltera. Cokolwiek bądź wreszcie powiedzą dzisiejsi uczeni niemieccy o małoważności francuzkich zdobywczy naukowych, nazwiska: Pascala, Montaigne'a, Diderota, Buffona, Cuviera, Lavoisiera i tylu innych, nie nie utracą ze swój historycznej świetności.

Francuzi nie żałują wprawdzie sarkazmu dla swoich dzisiejszych zwycięzców, ale za to z większym bez porównania umiarkowaniem mówią o ich przeszłości, uchylając szczerze czoła przed wszystkim, co w Germanii jaśniało i jaśnieje talentem lub nauką,—zdaje się jakby skutkiem wielkiego dziejowego wstrząśnienia, oba narody zamieniły pomiędzy sobą role. Francuzkie okrzyczane samochwalstwo, lekceważenie wszystkiego co obce, bezgraniczna ufność we własne siły, dostały się dziś Niemcom w udziale; na dolę zwyciężonych przypadła rozwaga, umiarkowanie, trzeźwość poglądu, systematyczne rachowanie się z okolicznościami chwili i z przyszłością.

Z całego olbrzymiego materiału polemicznych zapasów, na który z przerażeniem spoglądać będą bibliografowie przyszłości, terażniejszą wyróżnia już prace pomieszczone w *Revue des deux Mondes*, odznaczające się gruntownym i poważnym rozbiorem, wolne od zawiesi plemiennych i natchnione tą siłą przekonywającą, która rzeczywistej wiedzy zawsze towarzyszy. Prace te dzielą się na dwie kategorie: jedna śledzi rozwój historyczny Niemiec, od pierwszych jego początków,—druga zajmuje się najwybitniejszymi kierunkami współczesnego życia tego narodu. Z tą ostatnią kategorią zamierzylimy zaznajomić naszych czytelników. Z tytułów wymienionych na czele możnaby powziąć przekonanie, że mamy do czynienia z kilku oderwanymi studjami, bez wyraźnego pomiędzy nimi związku. Tak jednakże nie jest. Artykuły p. Cherbuliez i p. Gastona Boissier, połączone są ściśle celem i systematem. Cel zasadza się tu na obronie narodu francuzkiego przeciwko zarzutom najzaciętszych jego nieprzyjaciół,—systemat polega na krytyczno-porównawczym rozbiórce działalności współczesnej Niemiec w trzech najgłówniejszych dziedzinach umysłowości: filozofii, poezji i historii.

I.

Dr. Dawid Fryderyk Strauss, w naszym kraju jest prawie nieznaną. Niektórzy z czytelników przypominają sobie zapewne poemat Żeligowskiego p. t. „Jordan”, który w swoim czasie (około 1846 r.) cieszył się znacznym rozgłosem.

W tym poemacie, autor przedstawił groźną chrystyanizmowi na zachodzie Europy burzę, za pośrednictwem obrazu, w którym *chłop, strumień ognisty i strus* usiłują obalić krzyż Chrystusowy, godło zbawienia. Allegorya zasadza się tu na

przetłómaczeniu nazwisk filozofów niemieckich na język polski. *Chłop* oznaczał Chrystyana Bauera, *strumień ognisty*—Feuerbacha,—a *strus* Dawida Straussa.

Otoż, oprócz tej poetycznej wzmianki, nie zdarzyło się nam nigdzie spotkać jakichkolwiek wskazówek w naszym języku, o życiu i pismach doktora Straussa. W samych Niemczech, ten uczony jest osobistością więcej okrzyczaną, niż popularną. Pisma jego nie zdołały sobie utorować drogi do szerszego koła czytelników,—pomimo że nazwisko autora wyklęte przez kościół było aż nadto głośne w całym kraju.

Ten brak popularności wynika, jak słusznie utrzymuje p. Cherbuliez, z samego rodzaju studyów, którym się dr. Strauss przeważnie poświęca. Krytyka historyczna, jako nanka pełna subtelności, może być dostępna tylko umysłem wybranym, umięjącym ocenić siłę wywodów, wartość analogii, logiczność zestawień i wniosków. Nie dosyć, że dla większości umiejętność ta trudna jest do zrozumienia, ma ona w dodatku śmiertelną nieprzyjaciółkę w tradycji, z którą prowadząc walkę zaciętą, naraża się na klątwy i złorzeczenia tłumów. Zauważano od dawna, że jest wielu ludzi źle rozumiejących, więcej jeszcze takich, co nie rozumieją wcale, a największą podobno tych, co gotowi przesładować wszystkich ludzi myślących. Zdawałoby się, że w obec tylu nieprzyjaciół, krytyka historyczna powinna mieć za sobą w wąpiących i niewierzących; ale dzisiejsi sceptycy odznaczają się po większej części niewiarą temperamentu i wychowania, która nie się bez dowodów wygodnie obywa. Jeżeli nie wierzą, to dla tego, że żyją w roku Pańskim 1872, że urodzili się w wieku kolei żelaznych i telegrafów elektrycznych i że codziennie pierwszy lepszy dziennik wpaja w nich dostateczną ilość fizyki, aby z jej pomocą mogli zaprzeczać rozmnożeniu chleba i przemianie wody w wino. Przy takich warunkach, czyż potrzeba jeszcze studyować dzieje apostołskie i rozwój ewangelii?

Tak więc krytyka historyczna znajduje tylko obojętne i pogardliwe przyjaciół w sceptykach, a zawziętych wrogów w tych, co wierzą lub wierzyć pragną. Oburzają się na nią nie tylko adepci ślepej wiary, ale i ludzie uczucia, którzy sądząc o wszystkim z artystycznego punktu widzenia, wyrzucają tej umiejętności, że szpeci historię, że ją ogałaca z najpoetyczniejszych stron, że odbiera im możność uwielbień i zachwyty.

Drugą przyczyną niepopularności pism doktora Straussa jest ich niestanowczość. W rzeczach niebieskich i ziemskich, w polityce zarówno jak w literaturze, tłum przyklaskuje tylko działaczom śmiałym, energicznym, niepowstrzymanym, którzy walczą aż do ostatecznego wyczerpania sił w imię swoich idei. Dr. Strauss, radykalista z pozoru, jest w gruncie rzeczy bardzo umiarkowanym i powściągliwym. W polityce, liberalizm jego okazał się aż nadto pobłażliwym dla faktów dokonanych i dla ludzi, którym się powiodło. W religii, radykalizm tego uczonego, pełen jest chwiejności, i lęka się doprowadzać rzeczy do ostatnich granic. Charakter dra Straussa przedstawia dziwną mieszaninę namię-

tności i flegmy, zapалу wojowniczego i spokojnego racjonalizmu. Satyra bajki mogłaby mu zarzucić, że usta jego buchają kolejno lodem i płomieniem. (d. c. n.)

NA PRZECHADZCE.

Rycina ta mogłaby otrzymać nazwę głębiej nieco sięgającą w przedmiot wyrażony; postacie które tu spotykamy na przechadzce posiadają każda swego motora a raczej swoją podniecie do wyjścia z jednostajności ruchu do zabezpieczenia się od zastoju, chłopcu tę przysługę pod względem materyalnym oddaje welocyped, jego matce, czy opiekunce intelektualne lub uczuciowe strony porusza do działania książka. Oto morał bajki... pragnęlibyśmy jednak aby czytelnicy nasi oprócz tego potrącenia o stronę uczuciową i w ogóle życiową odnieśli z ryciny naszej inny jeszcze pożytek czysto praktyczny do którego się tu nastęrcza sposobność.

Często zdarza się napotykać ludzi obeznanych nawet do pewnego stopnia z technicznymi sposobami wykonywania rozmaitego rodzaju rycin którzy jednego rodzaju roboty od drugiego odróżnić nie umieją.

Miedzioryt, staloryt, drzeworyt, litografia są dla nich zawsze rycinami, jakkolwiek niektóre sposoby wzmiankowane bez rytowania zupełnie się obchodzą, jak np. litografia. Mówić tu o wszystkich manipulacjach i objaśniać je szczegółowo nie zdołalibyśmy z braku miejsca—rozróżniamy więc dwie najbardziej uderzające cechy tych sposobów, to jest iż wszelkie rytowanie odbywa się kreskami, wszelki zaś rysunek jak litograficzny, chromolitograficzny, aqua tinta, składa się z odcieniów jakby pedzlem rozwitych lub stopniowań cieniowych na które składa się niezliczona liczba drobnych kropeczek: ta to kropkowatość jest cechą najbardziej charakterystyczną litografii i spokrewnionej z nią cynkografii,—tę kropkowatość spostrzegamy na rycinie przedstawiającej „przechadzkę.“ Zapytałby ktoś obeznany nieco z sposobami uskuteczniania odbić z kamienia litograficznego i z drzeworytów, jakimże sposobem odbijacie rysunek z kamienia jednocześnie z czeionkami drukarskimi? na to odpowiemy,—sposób otrzymywania klisz czyli płyt cynkowych przenoszonych z kamienia litograficznego będący jednym z najnowszych w sztuce drukarskiej wynalazków, przyszedł nam tu z pomocą, i tę to nowosć stawiamy przed oczu naszych czytelników do porównania z drzeworytami i objaśnienia się w tej materji różnic i sposobów reprodukcyjnych.

Kępa pod Nową Aleksandryą

(Puławami).

Jedną z najpiękniejszych okolic kraju naszego jest okolica Nowej Aleksandryi (Puław) i Kazimierzadolnego (nad Wisłą), nieraz też już krajobrazisci nasi w tę stronę zwracali się, czerpiąc materiał do poetycznych widoków.

Ten który mamy obecnie przed sobą, na wystawie paryzkiej tegorocznej, świadczył cudzoziemcom o powbach kraju naszego, nam świadczy o niezmordowanej pracowitości artysty na polu ojczyściej sztuki,—artyście zaś powtórzenie pracy jego w piśmie naszym niechaj świadczy, iż cenić umiemy zdolności usiłowania i zasługi.

Treść: Teatrzyki ogródkowe. — Z Pamiętnika, poezya Wiktora Gomułickiego. — Przegląd literacki (c. d.) — O proszonym Chlebie, powieść Waleryi Marrené (Morzkowskiéj) (c. d.) — Synowie Edwarda. — Ze świata naukowego i społecznego. Niemcy współczesne. — Na przechadzce. — Kępa pod Nową Aleksandryą (Puławami). — Ryciny: Widok Kępy pod Nową Aleksandryą (Puławami). — Synowie Edwarda. — Na przechadzce. —